

PAUza

Akademicka



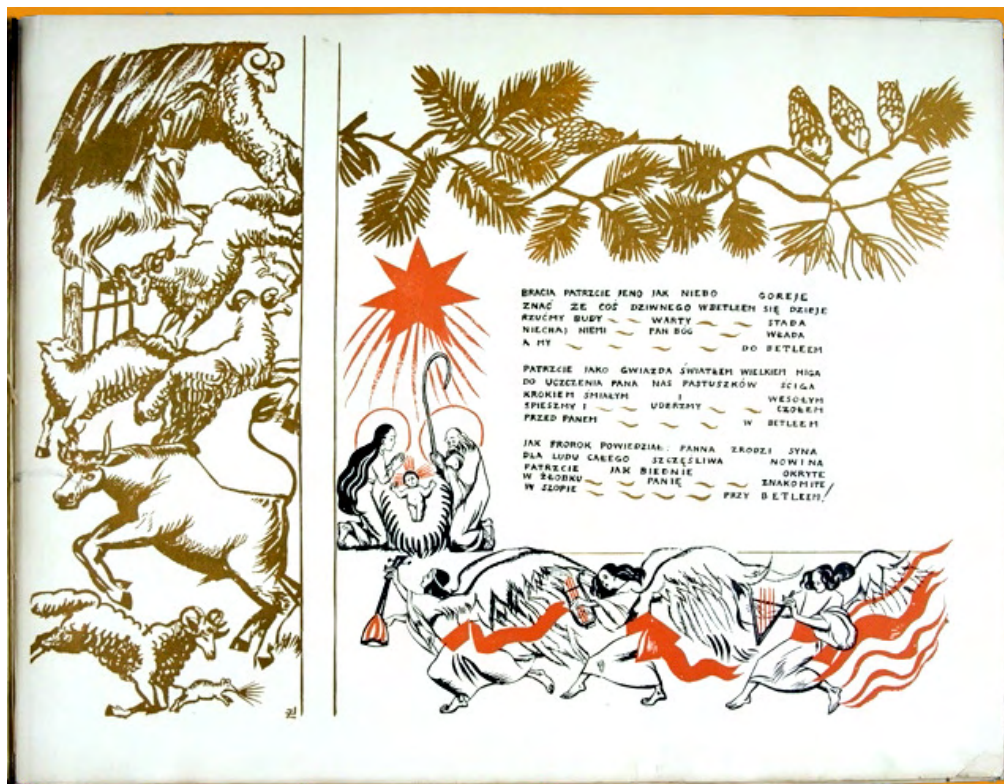
Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności

Nr 17/18

Kraków, 18-24 grudnia 2008



Wesołych
Świąt
i
Dobrego
Nowego
Roku



życzy
PAUza
Akademicka

z albumu Zofii Lubańskiej (po mężu Stryjeńskiej) *Pastoralka* (1915)



Partnerem czasopisma jest Miasto Kraków

Najstarsze polskie kazania

Jednym z najcenniejszych zabytków polskiego Średniowiecza są **Kazania świętokrzyskie**. Do naszych czasów dochowały się w postaci 18 pergaminowych pasków pochodzących z czterech kart obszerniejszego rękopisu, wykorzystanych wtórnie przez introligatora do wzmocnienia oprawy piętnastowiecznego, łacińskiego kodeksu z tekstami Nowego Testamentu.

Nazwano je *świętokrzyskimi*, gdyż kodeks, w którym się znalazły pochodził z biblioteki benedyktyńskiego klasztoru Św. Krzyża na Łysej Górze w Kieleckiem. Nie powstały jednak w tym klasztorze. Księga, w której znajdowały się te kazania została zrabowana przez zaborców i trafiła do Cesarskiej Biblioteki Publicznej w Petersburgu. W 1890 r. prowadzący tam badania prof. Aleksander Brückner znalazł te fragmenty polskich kazań, pieczołowicie wyprzełował je z oprawy, ułożył i zespolił w nową całość. Dziś znajdują się one w Bibliotece Narodowej (Sygn. 8001). Ten najstarszy zabytek artystycznej prozy polskiej, pochodzący z pergaminowej kopii wykonanej około połowy XIV wieku, zawiera sześć kazań, z których jedynie *Kazanie na dzień św. Katarzyny* zachowało się w całości. Warto się mu przyjrzeć.

Bohaterkę kazania – męczennicę św. Katarzynę z Aleksandrii, autor zestawiał z oblubienicą z *Pieśni nad Pieśniami*. Słowa „mądryego Salomona”, włożone w poemacie biblijnym w usta Oblubieńca wzywającego Oblubienicę, autor uważa za figurę wołania Chrystusa do św. Katarzyny. Kazanie rozpoczyna cytat z *Pieśni nad Pieśniami* w łacińskiej wersji przekładu, wkrótce potem przytoczony po polsku:

„*Surge, propera, amica mea, et veni!* Ta słowa pisze mądry Salomon, a są słowa Syna Bożego, tę to świętą dziewczę Katerzynę w sławę krola niebieskiego wabiącego. Wstań, prawy, pośpiej się, miluczka moja, i pojdz!”

Syn Boży wzywa i zachęca św. Katarzynę, a poprzez nią wszystkich ludzi do uczestnictwa w Jego chwale: „I znowił Syn Boży słowa wielmi znamienita, jimiż każdą duszę zbożną pobudza, ponęca i powabia”.

Jednakże wykład alegoryczny cytatu z *Pieśni nad Pieśniami* nie ogranicza się tylko do przypisania trzech czasowników w formie rozkazującej trzem stadiom nawrócenia grzesznika. Autor kazania posuwa się jeszcze dalej w swoim wywodzie. Z owych czasowników wyprowadza cztery („czwóraki”) kategorie grzeszników, będących przeciwieństwem postawy oddania życia za wiarę i za Kościół, którą reprezentuje św. Katarzyna. Są to: „siedzący”, „śpiący”, „leżący” i „umarli”:

„*Siedzący są, jż się k dobremu obleniają; leżący są, jż się w <e> z kochają; śpiący są, jż się w grzeszech zapiekają; umarli są, jż w miłości Bożej rozpaczają*”.

Pierwszą z tych grup wzywanych przez Syna Bożego, aby odeszła od „stadła grzesznego”, stanowią ludzie próżni, którzy nie zwracają uwagi na dobro. Kaznodzieja zarzuca im, „iż na będące dobro nie gładają, iż <w> wrzemieniem dobrze lubują, iż czego jim doić, nie pamiętają, iż o sobie nijedne piecze nie imają, a togodla iż <Boga nie chcą uż>rzeć, k dobremu wstać się obleniają”. Przeciwnością grzeszności „siedzących” jest św. Katarzyna, która „ku głosu Syna Bożego wstać się <nie oblepia> była”. Po tym stwierdzeniu autor przytacza odpowiedni fragment z *Legenda Sanctorum, de S. Katherina*.

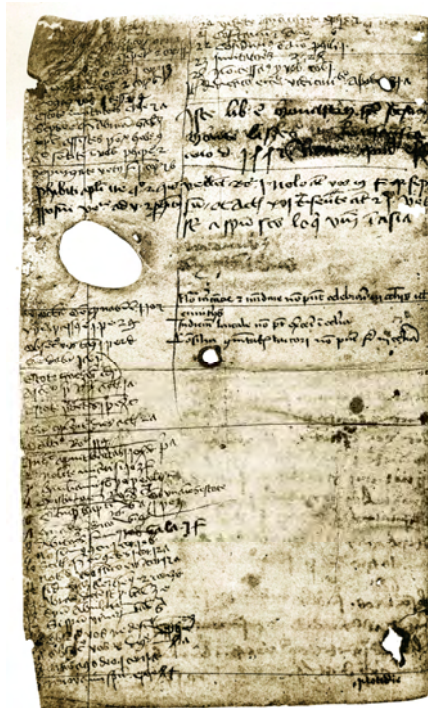
W podobny, aczkolwiek nieco prostszy sposób zostały scharakteryzowane trzy dalsze grupy grzeszników i specyfika ich grzeszności. Drugą kategorię tworzą „leżący”, ludzie leniwi, kochający zło, zobrazowani przez ewangelicznego paralytyka. Trzecia grupa grzeszników, to „śpiący”, ludzie

o zatwardziałych sercach, pozostający w stanie ciągłego grzechu. Uosabia ich więzień („kłodnik w ciemnicy skowany”). Czwartą grupę grzeszników tworzą „umarli”. Należą do niej wątpiący w Bożą miłość i Jego miłosierdzie.

Postawa św. Katarzyny jest zaprzeczeniem tych czterech grup grzeszników. Ona to bowiem miała prawidłowo uformowane sumienie, nie pozostawała w grzechu, wiodła święty, oddany Chrystusowi aż po męczenną śmierć żywot. Przyczyną wszelkiego grzechu jest szatan, który chce sprowadzić człowieka na złą drogę. Dlatego też w zakończeniu kazania autor wzywa do porzucenia grzechu i czynienia dobra, aby wejść do Królestwa niebieskiego.

Niezwykłość *Kazań świętokrzyskich* wynika z tego, iż w początkach XIII wieku, kiedy to prawdopodobnie powstał oryginał zbioru, nawet popularne homilie dla ogółu wiernych były zapisywane wyłącznie po łacinie. Język

polski pojawiał się tylko w akcie mowy. Głoszącemu kazanie mogły być potrzebne glosy odnoszące się do pojedynczych wyrazów czy zwrotów. Tymczasem w *Kazaniu na dzień św. Katarzyny*, jak i w pozostałych *Kazaniach świętokrzyskich* zarówno dobór materii kaznodziejskiej, jak intelektualizm jej ujęcia oraz abstrakcyjno-erudycyjny tok wykładu, przy jednoczesnym ograniczeniu elementu narracyjno-obrazowego, świadczą wymownie o tym, iż pisarz świadomie tworzył dzieło elitarne, adresowane do uczonego audytorium odznaczającego się dużą wrażliwością artystyczną.



Kazania tzw. Świętokrzyskie, wyd. Jan Łoś i Władysław Semkowicz, Polska Akademia Umiejętności, Kraków 1934.



Ks. Kazimierz Panuś:
– Autor „Kazań Świętokrzyskich” świadomie tworzył dzieło elitarne.

fol. archiwum PAT

Ks. KAZIMIERZ PANUŚ

Wypowiedzi w dyskusji o polskich czasopismach naukowych

Odpowiadam na ankietę w sprawie polskich czasopism naukowych:

(i) *Czy liczba polskich czasopism naukowych (ogólnie i w Pana dziedzinie) jest adekwatna do stanu polskiej nauki? Jeżeli nie, to jak można doprowadzić do właściwych proporcji?*

Odpowiedź na to pytanie w planie ogólnym wymaga znajomości określonych danych, w szczególności, oraz liczby tytułów u nas i w innych krajach. Wymaga to zapewne specjalnych badań, które na pewno warto podjąć. Jeśli chodzi o moją dyscyplinę — filozofię — to (podaję z pamięci, jako, że jestem za granicą, stąd zapewne pojawi się niedoszacowanie) mamy 12 czasopism ogólnopolskich (w tym jedno elektroniczne i jedno anglojęzyczne), 20 czasopism specjalistycznych i pewną liczbę tytułów w ramach zeszytów naukowych poszczególnych uczelni. Jest to liczba spora i jak sądzę wystarczająca, może nawet zbyt duża.

(ii) *Czy należy dążyć do "umiędzynarodowienia" czasopism (np. przez publikowanie w obcych językach)?*

Zdecydowanie tak, nie tyle przez publikowanie w językach obcych, ale wydawanie czasopism w całości obcojęzycznych, zawierających także artykuły autorów obcych. W końcu ubiegłego stulecia, mogliśmy stać się liderem w czasopiśmiennictwie naukowym w Europie Środkowej, z uwagi na zdecydowanie najwyższy poziom naszej nauki w tym regionie, a także uznanie dla wielu polskich czasopism; np. *Studia Filozoficzne* były „powszechnie” czytane w Bułgarii, Czechosłowacji i ZSRR. Apelowaliśmy wówczas o podjęcie prób zorganizowania międzynarodowych czasopism środkowo-europejskich, lecz nie wzbudziło to większego zainteresowania. Doszło też do rzeczy niedobrych, np. sprzedania *Studia Logica*, najważniejszego polskiego pisma logicznego i jednego z najważniejszych na świecie. O ile wiem, podobny los spotkał słynną serię książkową *Monografie Matematyczne*, której pierwszym tomem była monografia Stefana Banacha z zakresu analizy funkcjonalnej. Udało się nam (w Krakowie) przekształcić lokalne czasopismo *Reports on Philosophy* w *Polish Journal of Philosophy*, na razie z pewnym sukcesem. Może nie jest jeszcze za późno na kooperację międzynarodową, aczkolwiek nastąpił u nas regres w tej dziedzinie. Przypomnę, że Ossolineum i PWN wydawały książki wspólnie z takimi firmami, jak Elsevier, Kluwer i Pergamon Press, ale współpraca ta zmarła śmiercią naturalną w początku lat 1990. Wprawdzie kilka renomowanych wydawnictw ma swoje oddziały w Polsce, ale ich produkcja ogranicza się do publikowania podręczników, przeważnie prawniczych. Na stronach tytułowych wśród miast wymienianych jako siedziby domów wydawniczych coraz częściej pojawia się Budapeszt czy Praga, ale na próżno szukać Warszawy.

(iii) *Czy należy w ogóle finansować polskie czasopisma naukowe ze środków publicznych, czy raczej poddać je prawom rynku?*

Nie należy poddawać prawom rynku. Pewnym rozwiązaniem jest dystrybucja czasopism w ramach odpowiednio ustalonych składek, aczkolwiek to oczywiście nie pokryje kosztów. Środki publiczne po właściwie są, aby służyć celom publicznym, a wydawanie literatury naukowej do takich zadań należy.

(iv) *Czy polscy uczeni powinni być zachęcani do publikowania w polskich czasopismach (np. przez podniesienie ich „wagi” przy kategoryzacji)?*

Jeśli kogoś trzeba specjalnie zachęcać do publikowania w polskich czasopismach, to znaczy, że nie bardzo rozumie istotę swojej profesji. Oczywiście, zdaję sobie sprawę z tego, że publikacja zagraniczna jest znacznie bardziej prestiżowa niż polska, aczkolwiek zawsze zależy to od rangi czasopisma. Artykuł w *Fundamenta Mathematicae* jest równie prestiżowy, jak w jakimkolwiek innym czasopiśmie matematycznym. Jest zresztą pewna droga pogodzenia tych dwóch rzeczy, mianowicie tekst opublikowany za granicą, można u nas opublikować po polsku, o ile oczywiście zaznaczy się, że oryginał ukazał się, gdzie indziej. Natura naszego języka uprawnia do tego.

(v) *Czy prace publikowane po polsku w czasopismach lokalnych winny być uwzględniane w dorobku naukowym?*

To delikatna sprawa, ponieważ, z jednej strony, kryteria w czasopismach lokalnych bywają niższe, a z drugiej strony, niejedynemu artykule opublikowanemu w nich jest równie dobry, jak w ogólnokrajowych. Byłbym za całkowitą likwidacją pism lokalnych, ewentualnie przekształceniem niektórych z nich w ogólnopolskie lub przynajmniej regionalne.

Moja główna teza naukoznawcza głosi, że obecna nauka opiera się na prawidłowościach statystycznych. Dotyczy to także publikacji i ich poziomu. Kraje, takie jak Polska, winny być raczej zainteresowane solidną przeciętnością, bo na spektakularne sukcesy naukowe trudno nam liczyć z wielu powodów, m.in. ograniczonych środków, emigracji naukowców i ciągle błędnej polityki naukowej (vide zapowiedzi, że będą preferowane programy najlepsze, aczkolwiek ministerstwo już z góry wie, w jakich dziedzinach ich szukać). Solidny poziom przeciętny automatycznie wygeneruje osiągnięcia z górnej półki. Jasne jest, że poziom czasopism i poziom nauki są ze sobą skorelowane — z tym, że łatwiej jest sterować tym pierwszym, aczkolwiek nie należy przesadzać. Nie miejsce tutaj na dyskusowanie sposobów wpływania na poziom polskich czasopism, ale wydaje mi się, że umiędzynarodowienie niektórych z nich jest działaniem w dobrym kierunku. Dla równowagi, trzeba pamiętać, że niektóre dziedziny nauki, ściśle związane z kulturą narodową, wymagają czasopism w języku polskim, ewentualnie z „gościnnymi” tekstami obcojęzycznymi.

JAN WOLEŃSKI

PAUza Akademicka zaprasza do współpracy.

Artykuły, listy i komentarze
prosimy nadsyłać na adres redakcji:

pauza@pau.krakow.pl

Wypowiedzi w dyskusji...

Wielce Szanowny Panie Profesorze,

Odpowiadając na przesłaną ankietę i zaproszenie do dyskusji pozwalam sobie skreślić kilka uwag na temat sytuacji polskich czasopism naukowych. Na wstępie pragnę zaznaczyć, że poczynione przeze mnie obserwacje dotyczą głównie mojej własnej dziedziny (literaturoznawstwo antyczne), aczkolwiek oddają częściowo głos szerszego środowiska badaczy zgromadzonych w Komitecie Nauk o Kulturze Antycznej PAN.

Uważam, że liczba polskich czasopism w zakresie nauk o starożytności jest w zasadzie adekwatna do potencjału naukowego naszej dyscypliny. Zauważalna jest nawet tendencja do posiadania własnego czasopisma w poszczególnych instytutach czy katedrach, co niesie z sobą niebezpieczeństwo zaniżenia standardów i pewnej „zaściankowości”, którą wszakże można zredukować zapraszając do współpracy badaczy z innych ośrodków, w tym zagranicznych. Czynnikiem obniżającym poziom jest przede wszystkim podejmowanie się misji pomocy zatrudnionym w danej jednostce młodym pracownikom (nawet doktorantom), rozliczanym corocznie z liczby publikacji. W rezultacie przyjmowane są niekiedy do druku prace niewystarczająco odkrywcze, które nie miałyby szans na publikację w żadnym innym czasopiśmie. Praktyka taka jest niedopuszczalna i z gruntu szkodliwa. Dla porównania młodzi naukowcy z Uniwersytetu Oksfordzkiego publikują artykuły stosunkowo rzadko, lecz za to ich poziom i miejsce druku (prestiżowe czasopismo lub tom zbiorowy) zapewnia im natychmiastowe wejście w obieg międzynarodowy. Wyłania się z tego postulat odstąpienia od kryteriów ilościowych przy ocenach pracowników i zastąpienie ich ocenami jakościowymi dorobku.

Jednym z możliwych rozwiązań problemu poziomu czasopism byłoby wprowadzenie – również na poziomie wydawnictw lokalnych – rygoru recenzowania każdego artykułu z osobną przez wybranego specjalistę lub wybranych specjalistów spoza danego ośrodka, z zachowaniem zasady anonimowości obu stron (autor artykułu – autor recenzji). Tak wyselekcjonowane prace można by

publikować w językach kongresowych dla ich „umiędzynarodowienia”. Oczywiście wskazane jest tu rozsądne stosowanie kryterium adresata, ponieważ np. badania nad recepcją antyku w literaturze polskiej przeznaczone są głównie dla odbiorców polskich; zainteresowani „polską” tematyką specjaliści zagraniczni (jeżeli pretendują do tego miana) powinni przynajmniej biernie znać nasz język. Publikacjom w języku polskim powinny towarzyszyć każdorazowo streszczenia obcojęzyczne, dające jasny obraz treści artykułu, zastosowanej metody itp. Nie ulega wątpliwości, że prace przyjęte do druku w wyniku nakreślonej wyżej procedury kwalifikacyjnej mogłyby z powodzeniem liczyć się w ocenie dorobku naukowego.

Wracając do kwestii języka stwierdzam, że winien on zależeć od podejmowanej w artykule tematyki, a ponadto – od charakteru periodyku. Całkowicie naturalna wydaje mi się koncepcja czasopisma redagowanego w całości w języku polskim, jeśli ma ono profil popularnonaukowy lub przeglądowy i stawia sobie za cel informację o osiągnięciach nauki.

Wspomniana w ankiecie ewentualność sztucznego podnoszenia „wagi” polskich czasopism poprzez (nieuzasadnione innymi kryteriami) zawyżenie punktacji jest, w moim przekonaniu, całkowicie niedopuszczalna. Redakcje czasopism powinny dołożyć starań, aby zdobyć odpowiednio wysoką kategorię w rankingach dzięki utrzymywaniu standardów jakości.

Na pytanie, czy w ogóle należy finansować polskie czasopisma naukowe ze środków publicznych, czy raczej poddać je prawom rynku, w przypadku nauk humanistycznych można udzielić tylko jednej odpowiedzi: jeśli nasze periodyki mają się utrzymać, muszą korzystać z jakiejś formy mecenatu. Krąg odbiorców jest przeważnie zbyt szczupły, by z abonamentu pokryć koszty produkcji. Jedyne, co mogą uczynić redakcje, to zwiększenie zabiegów o odpowiednią dystrybucję i dotarcie z zachęcającą do prenumeraty lub kupna konkretnych artykułów informacją (m.in. internetową) do możliwie licznych zainteresowanych środowisk w kraju i za granicą.

JERZY DANIELEWICZ

Retoryka dialogu

... I tutaj, trzej mędrcy, w wielkiej zgodzie i wzajemnej przychylności pożegnali się ze sobą: każdy prosił drugiego o przebaczenie, gdyby zdarzyć się miało, że wypowiedział jakiegokolwiek niewłaściwe słowo przeciw jego religii i każdy wyraził drugiemu swoją wyrozumiałość i wybaczenie. I kiedy właśnie mieli się rozstać, jeden z mędrców powiedział:

Z tego, co się nam tu w lesie przydarzyło, czy nie moglibyśmy zabrać ze sobą czegoś trwałego? Czyż nie byłoby dobrze, abyśmy każdego dnia, który nadejdzie, przez jedną chwilę rozmawiali z sobą o tych wskazówkach, które Pani Mądrość nam dała, idąc jednocześnie za wzorem pięciu drzew i dziesięciu warunków reprezentujących ich kwiaty? Nasza rozmowa mogłaby toczyć się, jak długo to potrzebne, aż dojdziemy do jednej wiary i do jednej religii tak, aby możliwym było wzajemnie uczciwie się szanować, poważać i sobie służyć. Byłaby to najprędza droga do wzajemnej zgody i wzajemnego zrozumienia. Wojny, napięcia i zło w świecie – wyrządzają jedynie wiele szkód, przyniosą

człowiekowi hańbę i przeskroczą mu w jego staraniach o zgodę na drodze do jednej wiary. ...

RAMON LLULL
z hiszpańskiego przełożyła
Jagoda Donatowicz

¹ **Ramon Llull** (1235-1316); kataloński mistyk, poeta, neoplatonczyk i misjonarz-męczennik w Afryce Północnej. Prekursor XVI-wiecznej hiszpańskiej tradycji mistycznej, której głównymi przedstawicielami stali się św. Teresa z Avila i św. Jan od Krzyża.

Fragment pochodzi z *Obres Essencials: Llibre del gentil e los tres savis* (Editorial Selecta), Barcelona, vol. I, 1957, p. 1138. (JD)



List o Uwagach o rozprawach doktorskich

przedstawionych przez Prezydium Centralnej Komisji do Spraw Stopni i Tytułów

Kilka dni temu na stronach internetowych Centralnej Komisji do Spraw Stopni i Tytułów (dalej: CK), natknąłem się na *quasi*-dokument tak kuriozalny, a równocześnie o potencjalnie tak poważnych skutkach dla polskiej nauki, że 2 grudnia 2008 pozwoliłem sobie listownie zwrócić nań uwagę pani Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego, prof. Barbary Kudryckiej. Jestem bowiem przekonany, że w jego świetle cała proponowana przez Ministerstwo reforma nauki błędnie. List umieściłem w całości na stronie <http://www.eko.uj.edu.pl/laskowski>. Tu przytaczam jedynie najważniejsze fakty. Zachęcam do przeczytania całości, gdzie przedstawiam bardziej szczegółową argumentację.

Dokumentem tym są opublikowane na stronie CK *Uwagi o rozprawach doktorskich*. Prezydium CK zwraca w nich uwagę rad jednostek naukowych na rzekome błędy dotyczące formy i sposobu prezentacji rozpraw doktorskich. Pismo CK dotyczy zasadniczo dwóch spraw: możliwości przedstawiania rozpraw doktorskich w języku angielskim oraz przedstawiania pracy doktorskiej w formie cyklu publikacji. CK stoi zdecydowanie na stanowisku, że przedłożenie rozprawy doktorskiej w formie cyklu publikacji jest wręcz sprzeczne z prawem, zaś rozprawa przygotowana w języku angielskim wprawdzie bezpośrednio sprzeczna z prawem nie jest, lecz Prezydium CK dopatruje się sprzeczności w tym, że wg CK rozprawa doktorska jest „czynnością administracyjną”, te zaś, zgodnie z prawem, mają być utrwalane w aktach w języku polskim.

Pomijając rzekome argumenty natury prawnej (które, jak wykazuję w „pełnym” liście, są absurdalne), stanowisko takie jest sprzeczne z zadaniami CK, której powinnością jest dbanie o jak najwyższą jakość nadawanych stopni i tytułów. Tymczasem negując możliwość przygotowywania rozpraw doktorskich w języku angielskim, CK odbiera tę szansę właśnie najlepszym i najbardziej ambitnym doktorantom, którzy pragną, aby ich praca dotarła do szerszego grona czytelników, niż promotor i dwóch recenzentów. Ci naprawdę najlepsi chcieliby, aby rozprawę mógł stanowiący cykl artykułów opublikowanych w międzynarodowych czasopiśmie, a zatem recenzowanych przez kilku lub nawet kilkunastu najlepszych specjalistów z całego świata. Nie od rzeczy będzie tu zwrócić uwagę, że w wielu rozwiniętych krajach Europy, gdzie nauka stoi na poziomie nieporównanie wyższym niż w Polsce, taką praktykę stosuje się od dawna (Szwecja, Norwegia, Finlandia, Dania, Holandia), zaś w innych powoli się ją wprowadza (np. Niemcy). W niektórych krajach (np. Holandia) rozprawa jest obowiązkowo przygotowywana w formie cyklu angielskojęzycznych artykułów, opublikowanych oraz przyjętych i złożonych do druku w liczących się międzynarodowych periodykach naukowych.

Młodzi pracownicy nauki, a w szczególności młodzi doktorzy, będą za parę lat stanowić trzon polskiej nauki. To oni będą decydować o znaczeniu Polski na arenie międzynarodowej; nie tylko w sferze nauki. Jakie podłoże chce im (i nam wszystkim) zafundować Prezydium CK, prześladowając swym kuriozalnym pismem tych najlepszych? Jakie znaczenie będą miały wszystkie światłe ustawy wprowadzane przez Ministerstwo i Sejm, jeśli już u samych podstaw kariera naukowa zostaje zduszona

przez instytucję, której celem powinno być dbanie o jakość nauki? Już teraz część najlepszych absolwentów naszych uczelni ucieka z kraju. Moi magistranci robili lub robią doktoraty w Holandii, Wielkiej Brytanii, Niemczech i w paru innych krajach. Dla niektórych powodem decyzji o wyjeździe z Polski są względy finansowe, jednak wielu bynajmniej nie o to w pierwszym rzędzie chodzi. Oni wiedzą, że są dobrzy, że biegle władają językami obcymi. Niestety wiedzą też, że w kraju nie zostaną docenieni; że zamiast spędzać każdą chwilę na pogłębianiu swej wiedzy, na publikowaniu danych z prowadzonych przez siebie eksperymentów, będą musieli zmarnować sporo energii na czynności tak absurdalne, jak tłumaczenie na język polski własnych artykułów, przygotowywanych oczywiście w języku angielskim.

Osobiście uważam, że jeśli faktycznie chcemy podjąć próbę dogonienia światowej czołówki naukowej, to w naukach przyrodniczych powinniśmy jak najszybciej wprowadzić obligatoryjność składania rozpraw w języku angielskim, najlepiej właśnie w formie zestawu publikacji. Zdaję sobie jednak sprawę, że obecnie trudno by było tak daleko idącą reformę przeprowadzić ze względu na opór znacznej części środowiska naukowego. Może więc na dobry początek winno się w ustawie jawnie zagwarantować taką możliwość? Takie rozwiązanie ukróciłoby przynajmniej próby zamachu na polską naukę w rodzaju komentowanego pisma Prezydium CK.

Czasami jeden bezsensowny przepis, jedna błędna interpretacja prawa może przynieść szkody tak wielkie, że zamknie nam drogę do światowej nauki na lata. Jestem głęboko przekonany, że takim przypadkiem może się stać owo nieszczerne pismo Prezydium CK. To pismo napawa mnie przerażeniem, bo dotarło do mnie, że stanowisko wyrażone w *Uwagach* może być bliskie nie tylko członkom Prezydium CK oraz że przynajmniej niektóre rady wydziałów i instytutów potraktują je z całą powagą i raz na zawsze zabronią swym doktorantom składania rozpraw doktorskich w języku angielskim; nie mówiąc już o pracach złożonych z artykułów naukowych, choćby były opublikowane w *Nature* lub *Science*. Stanowisko zajęte przez Prezydium CK to szkodnictwo i jako takie powinno być zwalczane wszelkimi dostępnymi środkami.

RYSZARD LASKOWSKI
Członek Rady Nauki

Architekt, który naprawdę umie sprostać wszystkim wymaganiom, jakie stawia przed nim jego sztuka, to zjawisko jeszcze rzadsze niż wielki malarz, wielki poeta czy muzyk. Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że przyczyn tego należy szukać w koniecznej harmonii wielkiego rozsądku i wielkiego natchnienia.

Eugène Delacroix, *Dzienniki*,
14 czerwca 1850

Dowartościowanie Stryjeńskiej

Muzeum Narodowe w Krakowie (MNK) przygotowało obszerną wystawę monograficzną (pierwszą od przedwojny) prac Zofii Stryjeńskiej (1891-1976). Głównym autorem i kuratorem wystawy jest **Światosław Lenartowicz**, kustosz MNK. Na moje pytanie, dlaczego zajął się Stryjeńską, odpowiedział: *Interesuje mnie to, co działo się podczas I wojny światowej w środowisku krakowsko-zakopiańskim – początek myślenia o tym, jak będzie wyglądać sztuka polska, tj. poszukiwanie tzw. stylu narodowego. Czołowi formiści: Zbigniew Pronaszko (teoretyk formistów), Leon Chwistek, Stanisław Ignacy Witkiewicz, Rafał Malczewski szukali form i motywów w sztuce podhalańskiej, jako w zachowanej skarbnicy form narodowych, odciętej od wpływów. Zofia Lubańska (po mężu Stryjeńska) wtedy zaczynała. Jej koncepcja sztuki narodowej była inna niż formistów. Czerpała co prawda ze sztuki ludowej pomysły, lecz wymyśliła swoją formę i zupełnie nową ikonografię. Ta wystawa łamie mit, że Stryjeńska malowała stroje ludowe. Szukając stylu narodowego oparła się na religii rzymsko-katolickiej, na sztuce ludowej i na domniemanej mitologii słowiańskiej.*

Wystawie towarzyszy obszerny katalog¹. Tutaj ograniczymy się do kilku działów.

Dla Stryjeńskiej religijnej idei odrodzenia sztuki, najważniejszy jest cykl *Pascha* (1917): Chrystus przedstawiony w biało-czerwonej szacie, jako zmarłych wstająca Polska, Matka Boska ubrudzona węglem, w stroju przypominającym śląski – symbolizuje przyłączenie Śląska do Polski.

Moje zafascynowanie tą wystawą to przede wszystkim grafiki wizerunków bożków mitologii słowiańskiej i ilustracje książkowe. Stryjeńska zapewne знаła kilka dawniejszych książek o mitologii słowiańskiej – reszta to jej wyobrażenia. Była to wyraźna przeciwwaga dla mitologii germańskiej. Zrobiła dwie teki litograficzne bożków słowiańskich, w 1918 i 1922 r., a trzecia z 1934 r., w kolorowych kredkach i ołówku, pozostała w formie niewydanych oryginałów. Pierwsza teka została wydana przez Warsztaty Krakowskie, a druga przez Karola Stryjeńskiego w 25 egzemplarzach. Założył on dla żony Oficynę Fała, która wydała bibliofilsko liczne książki na najwyższym poziomie edytorskim. Na tę wystawę odnaleziono kilka oryginalnych projektów książek. Widoczny jest konsekwentny styl cyklu „Pascha” z 1917 r., lecz z ilustracji emanuje niezwykła pomysłowość i humor artystki. Pokazane są ilustrowane *Kołędy* (1926), udało się odnaleźć projekt ekspresyjnych ilustracji do *Monachomachii* Krasickiego (1918, wyd. Fała 1922). W 1930 r. we Lwowie ukazały się *Treny* Kochanowskiego z jej ilustracjami.

Wcześniej, podczas I wojny światowej, Stryjeńska ilustrowała książki wydawane przez Centralne Biuro Wydawnictw Komitetu Narodowego oraz projektowała kartki pocztowe na rzecz Legionów. W 1918, Warsztaty Krakowskie wydały w 1917 r. album Zofii Lubańskiej *Pastorałki* z 7 kołędami i subtelnymi ilustracjami (z 1915 r.).

Było szereg innych tek Stryjeńskiej: m.in. *Obrzędy polskie* (1931) i *Stroje polskie* (Nicea, 1939). Najbardziej znana jest jej teka *Tańce polskie* (1929), rozpowszechniona przez fabrykę porcelany w Cmielowie. Od 1938 r. rysunki te były malowane ręcznie na talerzach, przez Józefa Kwietnia; po wojnie malowano je już na zasadzie kalki.

Odkryciem tej wystawy są archiwalne zdjęcia niezachowanej polichromii w Baszcie Senatorskiej na Wawelu.

W Muzeum Narodowym w Warszawie zachowało się 12 oryginalnych projektów do niej; wystawione są trzy.

Bardzo ważny w życiu Stryjeńskiej był teatr. Najważniejszą jej realizacją teatralną (mimo że różną od oryginalnego projektu) była *Balladyna*, z premierą 28 czerwca 1927, dniu sprowadzenia zwłok Słowackiego na Wawel. Są zdjęcia ze spektakli, które pokazują, jaka była różnica między awangardowym, kubizującym projektem scenografii, a późno-XIX-wieczną krakowską realizacją. Zaprojektowała wtedy książkę *Królowi-Duchowi w dniu powrotu* – program-katalog z tego przedstawienia, opowiadający także o historii przedstawień Słowackiego w Teatrze im. Słowackiego. Zachowały się projekty realizacji *Harnasów* Szymanowskiego. Takie *Harnasie* wystawił w Nowym Jorku (1938) polski balet reprezentacyjny. Ze zbiorów rodzinnych pochodzą projekty widowisk baletowych *Pascha* i *Korowaj*.

Stryjeńska malowała w ogromnej większości na papierze farbą wodną. Jej wielkoformatowe kompozycje stanowią ewenement; nikt wtedy takich rzeczy nie malował na papierze. Projektowała również dekoracje reprezentacyjnych wnętrz na transatlantykach m/s *Piłsudski* i m/s *Batory*, ponadto plakaty i grafikę reklamową.

Inna ciekawostka: podczas II wojny światowej, bożki ciągle były aktualne. W okresie, gdy w tejsze sali MNK było kasyno niemieckie, Stryjeńska na pobliskiej Garncarskiej (jako odreagowanie tego, co działo się za oknem) malowała w 1942 r. „Witezjon” – miejsce, w którym można by wystawiać baletowe widowiska słowiańskie jej autorstwa.

Stryjeńska robiła również projekty zabawek. Z nich, w mniejszej skali, wykonywano szachy. Sama Stryjeńska zrobiła figury króla, konika i dwa rodzaje gońców. Te szachy sprzedawano do Warszawy; stanowiły podarunki dyplomatyczne rządu polskiego.

Jest na wystawie jedyny znany autoportret z ok. 1935 r. i portret namalowany przez Leona Chwistka (1921). Jest też pierwszy jej szkicownik z 1901 r. To nie są „typowe” rysunki dziecka. Pokazano także jej wczesną korespondencję.

W 1948 r. Stryjeńska wyjechała na stałe do Paryża, a w 1961 r. osiadła w Genewie. Właściwie dzięki tej wystawie dowiedzieliśmy, co tworzyła później. Na wystawie pokazano jej najlepsze powojenne, niemal wyłącznie religijne, obrazy; stworzyła wtedy swoją ikonografię religijną.

Wystawa jest nie tylko przywróceniem pamięci o Zofii Stryjeńskiej, ale i jej dowartościowaniem.

Światosław Lenartowicz odpowiada na taką sugestię: *Starałem się wybrać to, co najlepsze i zachować układ w miarę logiczny. Wystawa jest skoncentrowana na wcześniejszych pracach. Rodzina Stryjeńskiej twierdzi, i z głosów muzealnych wynika, że wygląda ona inaczej, niż dotąd sądzono. Myślę, że udało się nam ją dowartościować, zwłaszcza gdy chodzi o nieznane fragmenty jej wczesnej twórczości, przede wszystkim ilustrację książkową.*

ANDRZEJ M. KOBOS

Tekst powstał w wyniku rozmowy ze Światosławem Lenartowiczem, kuratorem wystawy.

¹ *Zofia Stryjeńska 1891-1975*. Muzeum Narodowe w Krakowie, 2008. Katalog wystawy z esejami. Kraków 2008, 445 s.

Karta z życia Stanisława Pigonia



Stanisław Pigoń i Kazimierz Nitsch, b.d.

fot. nr 9297, Archiwum Nauki PAN i PAU

18 grudnia 1968 r. zmarł prof. Stanisław Pigoń, wielki uczony, wychowawca kilku pokoleń polonistów, autor ponad 1 200 publikacji, w tym kilkudziesięciu książek, człowiek cieszący się wielkim autorytetem w środowisku akademickim. W dniach 17–18 grudnia 2008 w Uniwersytecie Jagiellońskim odbędzie się sesja naukowa poświęcona prof. Pigionowi.

Stanisław Pigoń formalnie nigdy nie należał do żadnego stronnictwa politycznego lub partii politycznej. W okresie międzywojennym łączono go z endecją, potem, także w pierwszych latach po II wojnie światowej, z Polskim Stronnictwem Ludowym. Jak jednak zeznał w czasie przesłuchania w dniu 16 lutego 1947 roku, nigdy nie przystąpił do jakiejkolwiek partii politycznej. Nie znaczy to, że nie interesował się życiem politycznym kraju. Głęboko na sercu leżały mu sprawy kondycji państwa polskiego. W równej mierze interesowała Go wszakże sprawa przestrzegania w tym państwie praw obywatela.

Mniej znana jest karta z życia Profesora, dotycząca jego działalności po II wojnie światowej. Zachowało się sporo dokumentów na ten temat w archiwach Służby Bezpieczeństwa PRL. Pewne materiały dotyczące stosunku władz PRL do Profesora odnaleźć można także w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej. Przypomnijmy zatem najważniejsze fakty.

Gdy 13 września 1946 Polskie Stronnictwo Ludowe odrzuciło ideę bloku z Polską Partią Robotniczą w zapowiedzianych na 19 stycznia 1947 wyborach, władze komunistyczne natychmiast podjęły wielką akcję wymierzoną w działaczy ludowych. Akcja polegała przede wszystkim na zastraszaniu ich różnymi sposobami (anonimy, telefony, strzelanie do osób), a także rozpoczęcia aresztowań. W obliczu szerzącego się bezprawia, Stanisław Pigoń z Franciszkiem Bujakiem i kilkoma innymi delegatami społeczności Krakowa, postanowili interweniować u najwyższych władz państwowych. W listopadzie 1946 udali się do Warszawy, do przewodniczącego Krajowej Rady Narodowej Bolesława Bieruta, z petycją o powstrzymanie represji wobec członków PSL. Misja nie przyniosła żadnych rezultatów, podobnie zresztą jak interwencja arcybiskupa Adama S. Sapiehy i całego szeregu innych przedstawicieli świata nauki i kultury Krakowa. 16 lutego 1947 Stanisław Pigoń został przesłuchany przez Urząd Bezpieczeństwa w związku ze śledztwem przeciw Stanisławowi Mierzwie, Karolowi Buczkowi i innym. Pozostał jednak na wolności.

11 sierpnia 1947 odbył się w Krakowie pokazowy proces 17 oskarżonych o próbę obalenia ustroju Państwa Polskiego. 10 września, sąd wojskowy wydał wyrok, w którym orzeczono osiem kar śmierci (trzy wykonano,

cztery zamieniono na karę dożywocia, a jedną na 15 lat więzienia), dwa wyroki na 15 lat, jeden na 12 lat, trzy na 10 lat, jeden na 6 lat, jednego uniewinniono.

W tej sytuacji przywódca PSL, Stanisław Mikołajczyk, który niedawno powrócił z Anglii i wszedł do rządu jako wicepremier,

zdecydował się opuścić kraj. Uczynił to 21 października 1947 r. Przed ucieczką podzielił swoje archiwum na pięć części, które przekazał do przechowania zaufanym osobom. Trzy części tego archiwum ulokował na wsi, u znajomych sobie gospodarzy, jedną przekazał na przechowanie redaktorowi *Tygodnika Powszechnego*, ks. Janowi Piwowarczykowi, a jedną prof. Pigionowi. Ryszard Terlecki napisał potem:

po ucieczce z Polski prezesa PSL i po aresztowaniu Marii Hulewiczowej, zaufanej sekretarki Stanisława Mikołajczyka, ktoś z przesłuchiwanym wygadywał, że prof. Pigoń przechowuje jakieś dokumenty po byłym prezesie PSL.

W wyniku tej denuncjacji do Krakowa przybył natychmiast Stanisław Morawski, dyrektor Departamentu IV MBP. W towarzystwie pracowników UB poszedł Profesora. W wyniku rewizji dokumenty Mikołajczyka znaleziono w piwnicy, pod węglem, w zakręcanych słoikach. „Wizytę” ową profesor przyplacił atakiem serca...

Przez kilkanaście lat – od 1946 r. aż do 1964 r. – Stanisław Pigoń pozostawał pod stałą obserwacją tajnej policji politycznej PRL. Najprawdopodobniej nie założono mu, jak m.in. prof. Henrykowi Baryczowi, podsłuchu telefonicznego w mieszkaniu. Pozostawał wszakże pod stałym nadzorem „informatorów”, czyli agentów, którzy od czasu do czasu przygotowywali meldunki na jego temat. Ponieważ jednak Profesor na przełomie lat 40.–50. odsunął się od bieżącego życia politycznego, tajni donosiciele systematycznie informowali swoich przełożonych jedynie o *absolutnie reakcyjnych* poglądach *figuranta*.

W dokumentach przechowywanych w Bibliotece Jagiellońskiej udało się odnaleźć dokumentację dotyczącą jednego z takich donosów, który mógł na dłuższy czas, w każdym razie – na parę lat, wyłączyć Profesora z bieżącego życia naukowego. Z tego powodu warto o nim tu wspomnieć.

Okazuje się, że w dniu 23 grudnia 1950 roku odbyła się w UJ promocja doktorska Zbigniewa Jerzego Nowaka, który obronił u prof. Pigonia rozprawę doktorską poświęconą *Księżom narodu i pielgrzymstwu Polskiego Mickiewicza*. W czasie uroczystości promotor wygłosił krótką mowę do nowego doktora. W mowie tej czynił donosiciel Urzędu Bezpieczeństwa dopatrywał się co najmniej próby obalenia ustroju, toteż zadenuncjował Profesora. W konsekwencji, 4 stycznia 1951 roku prodziekan Wydziału Humanistycznego UJ, doc. Józef Garbacik, zażądał od Pigonia dostarczenia w trybie pilnym tekstu mowy wygłoszonej – jak napisał – *bez uprzedniego uzgodnienia z Ob. Dziekanem*. Pigoń tekst mowy dostarczył. Mowa to piękna i mądra. Fakt dostarczenia jej prodziekanowi zamykał sprawę, która mogła być nabrać wymiaru poważnej. Miał tego świadomość sam Profesor, który na marginesie pisma Garbacika napisał:

Przemówienie było do dr. Z. Nowaka; pismo miało zagać sprawę ew. dyscyplinarki za fakt, za tekst przemówienia. Przesłany tekst uspokoił nadgorliwców donosu. Dyscyplinarki nie było. Skończyło się na dziekańskich okrzykach zgrozy po kawiarniach.

Karta z życia Stanisława Pigonia

(dokończenie ze str. 7)

Dyscyplinarki nie było, ale przecież donos miał dalsze konsekwencje. Oto okazało się, że Profesor ukończył 65. rok życia. Z Ministerstwa nadesłano pismo z informacją o możliwości przeniesienia Profesora na emeryturę. W sprawę włączyła się jednak natychmiast Rada Wydziału Humanistycznego UJ. Wydała w formie uchwały niezwykle pochlebną opinię o Profesorze. W materiałach rękopiśmiennych BJ zachował się odpis tej uchwały przesłanej do Ministerstwa Szkół Wyższych i Nauki przez ówczesnego dziekana Wydziału, prof. Maksymiliana Siemińskiego. W dniu 7 czerwca 1951 r. powstał tekst, w którym stwierdzono m.in.:

Prof. Stanisław Pigoń jest jedną z naczelných osobistości w humanistyce polskiej. Cechy wielkiego uczonego łączą się z zaletami wybitnego pisarza i znakomitego wykładowcy oraz przewodnika młodzieży w pracy naukowej.

Tę znakomitą opinię dziekan Siemiński zakończył sformulowaniem, że Pigoń *jest w pełni sił i energii i nadal trwać powinna działalność jego profesorska, tak cenna i tak owocna*. Wobec takiej opinii, ministerstwo nie miało innego wyjścia, jak ustąpić i zatrudnić uczonego na dalszy okres.

Władze PRL-u miały jednak długą pamięć. Upłynęło zaledwie półtora roku, gdy do akcji przystąpiła znana naówczas dobrze minister oświaty, Eugenia Krassowska. Pod pretekstem zmiany struktury Katedry Historii Literatury Polskiej UJ (katedrę tę przekształcono w Zespółową Katedrę Historii Literatury Polskiej) z dniem 1 stycznia 1953 roku pozbawiła Profesora kierownictwa Katedry Historii Literatury Polskiej, która kierował od 1932 r. Otrzymał skromne stanowisko kierownika Zakładu Literatury Staropolskiej.

Te i podobne szkany w niczym nie obniżyły autorytetu Profesora. Gdy w początku stycznia 1957 Senat UJ powołał Komisję Rehabilitacyjną, która – działając na fali „odwilży” poPaździernikowej – miała zająć się przywracaniem dobrego imienia prześladowanym w epoce stalinowskiej profesorom UJ, prof. Pigoń znalazł się w jej składzie.

Jednym z ostatnich wystąpień Stanisława Pigonia w obronie praw obywatelskich było złożenie przez Niego podpisu pod słynnym *Listem 34* intelektualistów w r. 1964, skierowanym do premiera PRL Józefa Cyrankiewicza.

Jego sygnatariusze domagali się zmiany polskiej polityki kulturalnej w duchu praw zagwarantowanych przez Konstytucję PRL i zgodnych z dobrem narodu. Intelektualistów polskich wsparło natychmiast 21 pisarzy i artystów angielskich, 15 intelektualistów włoskich, a także 13 profesorów Harvard University. W kraju rozpoczęła się natomiast ostra nagonka na jego sygnatariuszy. Jeden z nich, Melchior Wańkowicz, został aresztowany pod zarzutem

przekazania tekstu *Listu* zagranicznym dziennikarzom. Prawomocnie skazany, nie odbył jednak kary więzienia, choć zgłosił się do jej odbycia – władze PRL nie zdecydowały się bowiem na kolejną kompromitację. Przyjęły inną taktykę: zwróciły się do sygnatariuszy *Listu 34* o podpisanie listu-protestu skierowanego do redakcji angielskiego dziennika *The Times*, w którym to liście zarzucono zagranicznym intelektualistom oraz Radiu Wolna Europa mieszanie się w wewnętrzne sprawy Polski, upowszechnianie *falszywych informacji oczerniających Polskę Ludową*, w której *wszak nie było i nie ma represji*. Dokument ten podpisało dziesięć spośród sygnatariuszy *Listu 34*. Znamienne, że tego listu do *The Times* nie podpisał Stanisław Pigoń. Dobrze wiedział, co znaczy manipulacja.

FRANCISZEK ZIEJKA

Zacząłem przygotowywać pracę doktorską, monografię o Zarianie Chodakowskim, kontaktując się prywatnie z profesorem Stanisławem Pigoniem. Pracę obroniłem w Uniwersytecie Jagiellońskim wiosną 1963 r. Moim promotorem był oczywiście profesor Pigoń. Jego uważałem za swojego Mistrza. Potem, przez kilka lat pracy w Ośrodku Badań Prasoznawczych przygotowywałem równocześnie rozprawę habilitacyjną, którą ukończyłem w 1967.

Tuż przed moim kolokwium habilitacyjnym, 13 maja 1968, nastąpiło przykre zdarzenie. Przywiozłem profesora Pigonia na moją habilitację, ponieważ był jednym z recenzentów. Profesor wszedł do Collegium Novum i w westybulu zasnął, tracąc przytomność. Zdażył tylko powiedzieć – *Gdzieś na świecie bywają windy, a tu trzeba iść po schodach*. Odwieziono go do domu, a ja poszedłem na kolokwium habilitacyjne. Po kilku dniach odważyłem się zadzwonić do państwa Pigoniów. Pani Pigionowa powiedziała mi – *Czekamy, żeby się pan znów pojawił*. Poszedłem niebawem i wtedy Profesor ofiarował mi swoją książkę pt. *Formowanie „Dziadów” części drugiej. Rekonstrukcja genetyczna*, PIW, Warszawa 1967, z serdeczną dedykacją. Byłem ostatnim habilitantem profesora Pigonia.

Z Profesorem rozmawiałem często; w ostatnich latach jego życia, w piątki – bo wtedy Profesor przyjmował odwiedzających go. Wiem, że proponowano mu, żeby został dyrektorem Biblioteki Narodowej w Warszawie, gdyż chciano odsunąć go od dydaktyki. Nie zgodził się jednak na to. Odpowiedział – *Chcę uczyć, bo to jest moja misja. A jeżeli nie pozwolicie mi uczyć, to mam już prawo pójść na emeryturę* (urodził się w 1885 r.). Z zakulisowych informacji wiem, że bronił Go m. in. profesor Kazimierz Wyka, który go wysoko cenił. Wyka przyjaźnił się ze Stefanem Żółkiewskim, który wówczas miał znaczną władzę i widocznie przekonał go, że Pigoń należy zostawić w spokoju. Odsunięto wtedy od zajęć uniwersyteckich w Uniwersytecie Jagiellońskim Romana Ingardena i kilku innych profesorów.

Julian Maślanka

Fragment wypowiedzi Juliana Maślanki w rozmowie z Andrzejem Kobosem, *Po drogach uczonych*, t. 3, s. 435-437, Polska Akademia Umiejętności, Kraków 2008.



Franciszek Ziejka:
– Stanisław Pigoń dobrze wiedział,
co znaczy manipulacja.

fot. Andrzej Kobos

Modele nad portretem

W odpowiedniej dla scenarii Pałacu Staszica w Warszawie spotkali się 1 grudnia bohaterowie – aktualni lub potencjalni – wywiadów dra Andrzeja Kobosa w serii *Po drogach uczonych*, jakich trzy tomy ukazały się nakładem Polskiej Akademii Umiejętności, a przedsięwzięcie bynajmniej nie ma się ku końcowi. Od razu powiem, że do kontynuacji zachęcano autora gorąco. Spotkanie zorganizowały: Wydział II Towarzystwa Naukowego Warszawskiego oraz Instytut Historii Nauki PAN, a prowadzili je Dyrektor IHN PAN prof. Leszek Zasztowt i Przewodniczący Wydziału II TNW prof. Stanisław Bylina.

Prof. Andrzej Śródka, którego warto przypomnieć jako autora czterotomowego *Słownika uczonych polskich XIX i XX wieku* (1994-1998), podkreślał tę zasługę Andrzeja Kobosa – za jaką i jemu samemu należy się wdzięczność czytelników (przy każdym biogramie wymieniał zasłużonych przodków i potomków) – tj. krótkie, na wstępie każdej rozmowy, wskazanie społecznej i kulturowej metryki bohatera wspólnie dalej kreślonej biografii. To ważne, gdyż owe metryki składają się na szkic do portretu polskiej inteligencji, której twórczą grupę stanowią członkowie PAU.

Prof. Janusz Tazbir zwracał uwagę na popularyzatorskie walory rozmów z uczonymi bardzo różnych specjalności – podczas lektury trzech grubych tomów wędrujemy po szlakach współczesnej fizyki (trudnych czasem dla czytelnika nieprzygotowanego), biologii molekularnej z jej rozmaitymi odnogami, matematyki, archeologii, historii literatury, sztuki i świata, medycyny, geologii, filozofii, twórczości artystycznej... Skoro wybitny historyk wyznaje, że ani się nie nudził, ani nie popadał w kompleksy – to jest to wysoka ocena autora. Nawet gdyby fakt, że prof. Tazbir jest jednym z bohaterów książki działał na korzyść Andrzeja Kobosa, który już podczas kreślenia wizerunku zyskał był uznanie i sympatię swego modela. Dodać też trzeba, że pochwała walorów popularyzatorskich ze strony wybitnego historyka i znakomitego „upowszechniacza” wiedzy historycznej ma wagę znaczną.

Trzeci z zaproszonych do zabrania głosu o książce – prof. Lech Szczucki, również jeden ze współautorów (są nimi rozmówcy dra Kobosa) zwracał uwagę na coś, co i ja (wieloletni „opisywacz” uczonych i ich dzieł) uważam za bardzo cenne, a wiem jak niełatwe do osiągnięcia, mianowicie – nasycenie wywiadów-portretów wiadomościami o pozanaukowym życiu uczonych rozmówców, o tym, co na swoich drogach, które wraz z pytającym przemierzają na nowo, spotykali, wybierali, cenili, odrzucali. Bardzo łatwo w takiej jak tworzenie tej książki pracy zatracić równowagę między portretowaniem *uczonego* i *człowieka*, jeśli wolno użyć tak mało ścisłego zestawienia. Andrzejowi Kobosowi to się udaje, dzięki czemu czytelnik poznaje model jego portretu (wobec trzech tomów można mówić o portrecie zbiorowym, na którym wszakże każda sylwetka przedstawiona jest z indywidualnym pietyzmem) w różnych pełnionych rolach.

Daty urodzenia na ogół dyktują pytania o czas wojny, ale dalej „drogi uczonych” wiodą często poprzez zaangażowanie w działalność opozycji demokratycznej, „Solidarność”, starania o samorządność nauki w latach osiemdziesiątych, a po r. '89 – udział w budowaniu instytucji nowoczesnego suwerennego państwa. Tymi drogami idą także młodszy członkowie PAU i pewnie nie trzeba przypominać, że służba ojczyźnie, pełniona na wielu polach, z użyciem różnych narzędzi – szabli, pióra, mikroskopu, akceleratora..., jest jednym z głównych rysów tradycji inteligentnych domów i środowisk.

Inny, nie słabszy, imperatyw to kształcenie następnych pokoleń, które niekoniecznie musi być dydaktyką uniwersytecką, ale także wspomnianym wyżej upowszechnianiem, rozmaitym aktywnością na rzecz oświecania społeczeństwa, szerzenia myśli pomagających w życiu obywatelskim.

O jednej i drugiej nie mało się dowiadujemy z wywiadów i to niezależnie, czy autor rozmawia z lekarzem, czy z filologiem-mediewistą. Wydaje mi się, że to poczucie powinności wobec otoczenia szerszego niż własna uczelnia, laboratorium czy biblioteka, należy integralnie do zespołu cnót, które można określić etosem PAU, czego najpewniej nikt z członków Akademii nie robi, gdyż owe cnoty traktują jak cechy najzupełniej naturalne. Są mocno zakorzenione w tradycji od niemal dwu stuleci, od czasu, kiedy potomkowie zubożałych ziemian szli do miasta, żeby się kształcić, studiowali na zagranicznych uniwersytetach, u największych europejskich mistrzów, a potem – dziewięćdziesiąt lat temu – licznie wracali do pracy dla Niepodległej.



Sala Okrągłego Stołu, Pałac Staszica, 1 grudnia 2008

fot. Barbara Kobos

Pod koniec grudniowego spotkania nad portretem członków PAU (z maleńkim, jak mawiał Gustaw Herling-Grudziński, autoportretem autora w dolnym narożniku) odezwały się apetyty uczestników, rozbudzone lekturą. Pytano dra Kobosa, ile jeszcze wywiadów zamierza opublikować – zachęcano, by jak najwięcej. Ktoś nawet powiedział, że może nie trzeba w dalszej pracy ograniczać rozmówców do samych Akademików, ale próbować „przepytać” uczonych polskich, ilu się da. Trzeba ufać, że powstanie jeszcze nie jeden tom (czwarty, w przyszłym roku) i myśleć o tym, jak z tych wyrazistych sylwetek stworzyć równie wyrazisty portret środowiska całego, w którym ukażą się jego rysy szczególne, decydujące o wykonywaniu zadań stojących przed uczonymi.

MAGDALENA BAJER

